

Żony modne i mężowie modni

Wojciech Bogusławski: „Spazmy modne”. Komedia w 5 odsłonach. Reżyseria Marii Wiercińskiej, dekoracje i kostiumy Jadwigi Przeradzkiej. Premiera w teatrze Ateneum.

Komedie Bogusławskiego należą do cennej spuścizny polskiej dramaturgii i od półtora wieku udawniają — przynajmniej najlepsze z nich — swą sceniczną żywotność. To też gdy od dawna grane „Spazmy modne” weszły niemal równocześnie na sceny w Łodzi i w Warszawie — wzbudziły zrozumiałe zainteresowanie.

Nie są wprawdzie „Spazmy modne” ani satyrą polityczną, ani — by sięgnąć do porównania z innymi utworami Bogusławskiego — komedią społeczną typu „Henryka VI na łożach”; i na pewno nie należą do widowisk patriotycznych w rodzaju „Krakowiaków i górali”, napisanych w gorących dniach rewolucji Kollataja, Kościuszki i warszawskiego społeczeństwa. „Spazmy modne” powstały w okresie opadu fali rewolucyjnej, w okresie martwej ciszy jaka nastąpiła bezpośrednio po trzecim rozbiore Polski, po ostatecznym — jak się wielu współczesnym ludziom wydawało — wymazaniu państwa polskiego z mapy świata. W Warszawie zapanowali Prusacy, a w „towarzystwie” warszawskim kompania hulaszczą

księcia Pepi spod Blachy, życziwym wejrzeniem i pobożaniem darzona przez pruskie rządy. Nie ma w „Spazmach modnych” pogłosów wielkich burz historycznych, świadomych aluzji do tragicznej sytuacji społeczeństwa polskiego. Ale jest w nich za to satyra obyczajowa, wcale ostra, cięta, zjadliwa, mimo farsowego otoku. Wątek fabularny „Spazmów modnych” jest blahy, tradycyjny, podporządkowany zadaniu serdecznego rozśmieszenia widowni; ale to co wypowiada, co odsłania, co mimo woli ocenia bez nudnego moralizowania a czasem wręcz powierzchnowemu i fałszywemu moralizowaniu, jest dostatecznie krytyczne, satyryczne, a nawet potępiające.

Toteż niepotrzebnie sięgając do porównań z wyraźnie antyfeudalnym „Henrykiem VI”, słusznie zestawia się „Spazmy modne” z arcykomedią młodzieńczego Fredry „Mąż i żona”. Podobieństwo środków i podobieństwo sytuacji. Podobieństwo tła i niemalże podobieństwo epoki. Czworokąt małżeńsko-narzędziński, jawnie podnoszący filozofię najgrubszego hedonizmu

do godności głównej zasady życiowej. Tylko fredrowskiej pokojówki Justysi brak „Spazmom modnym” — może na jej wprowadzenie nie stało śmiałości panu Wojciechowi, którego i tak z racji „Spazmów” szarpiano za niemoralność i „uchybianie dobremu tonowi”.

Jest natomiast w „Spazmach modnych” moralizator (a nawet dwóch: o tym drugim za chwilę). Tym moralizatorem, za hawnym zrzędą, rozśmieszającym widowie, ale mającym i tak ostatnie słowo i spełniającym funkcje autorskiego parolu jest waszność Zdawniański, były pułkownik, wuj dwu romansowych sióstr, mistrzyni w dziedzinie „spazmów”, cięty acz dobroduszny rezoner. Ale rezoner wątpliwych zasług. Imię Zdawniański przeciwstawia po prostu zepsuciu i kosmopolityzmowi „wyższego towarzystwa” pochwałę tzw. sarmatyzmu, u parte trzymanie się rzekomo godnych szacunku i ślepego naśladownictwa tradycji szlacheckich przodków. Mamy więc po jednej stronie ludzi obojętnych na wszystko co nie jest zabawą i pieniądzem — po drugiej starego tetryka i *laudatora temporis acti* (chwalęcę czasów minionych), wstęcznika, który by rad cofnąć obyczaję do czasów saskich, w spra-

wach pieniędzy nie mniej jak wreszcie kutego niż jego rodzina. Nie ma co, ładne towarzystwo i „zachęcający” obraz stosunków społecznych.

Wymowy tak przejrystego zwierciadła przeląkł się zapewne Bogusławski, toteż w ostatnim akcie „Spazmów” cofnął się nagle na całej linii, odkrył „bohatera pozytywnego” w romansującym z siostrą własnej żony hrabim Modnickim, ba, zapowiedział poprawę jego żony modnej. Wszystkie cienie skuł za to na fireyku Szarmanckim, byłym majorze, najpierw w niczym nie różniącym się od hrabiego atoli później okazującym się wilkiem wśród owczarni; i na osobie owej Lukrecji, siostry pani hrabiny, dla której za jej zbytki przygotował „rekolokację” na wsi pod czujnym okiem Zdawniańskiego, niczym Fredro klasztor dla swawolnej Justysi.

A owe „spazmy modne”, które nadały komedii tytuł, owe modne choroby ówczesnych pań bogatych, którym Bogusławski poświęcił tyle uwagi i uczynił obiektem grubego końcowego morału z niezawodnym jakoby harpem na żony krnąbrne i, które zamęczają kochających mężusiów swoimi udanymi chorobami? Te „choroby” dają Bogusławskiemu sposobność do wprowadzenia na scenę mieszczkańskiego doktora Mizantropskiego, reprezentującego zdrowy rozsądek i dobre obyczaje. Coż, kiedy najlepsze lekarstwo to, zdaniem Mizantropskiego, różdżka, którą już duch święty

w edukacji jezuickiej jak naj częściej stosować dotadzał...

Pomijając jednak to czy inne zastrzeżenie, i pomijając fakt, że uderzenie w złe obyczaje pada w „Spazmach modnych” z prawa, możemy stwierdzić, że satyra obyczajowa jest w „Spazmach” nie tylko wyraziście ale i dwustronna — to jest trafiająca zarówno w obyczaje pogrążonego w marazmie i wulgarnych uciechach życia „wyższego towarzystwa” stolicy, jak i w obskurantyzm skłóconej z nim starej szlachty. A że ponadto jest to komedia napisana przez dobrego majstra, o gromnie zabawna i zręczna, że należy do najwybitniejszych utworów teatru polskiego Oświecenia, najlepiej znoszących próbę czasu — nie dziw, że od pierwszych przedstawień cieszy się znacznym powodzeniem. Widz bowiem z całą pobłażliwością słucha niezbyt fortunnych moraloiw asinidzieja Zdawniańskiego, i z całą dobroduszą śmieje się ze skutecznej (ale tylko w sztuce) recepty Mizantropskiego, ale z całą ostrością ocenia pokazany mu przez Bogusławskiego świat feudalny.

„Spazmy modne” są w Ateneum bardzo ładnie wystawione i starannie, stylowo wyreżyserowane. Przeradzka dała sztuce subtelną oprawę dekoracyjną, opartą o parę niezmiennych elementów (uroczy rokokowy plafon). Wiercińska ułożyła szereg sytuacji, z których tylko finałowa budzi wątpliwość, jest bowiem raczej z komedii Cze-

chowa niż Bogusławskiego. Również aktorsko przedstawienie jest rzetelnie opracowane. Barwińska i Barwiński, Sarnawska, Kęstowicz, Litner wydobywają ze swoich ról wiele dobrego materiału komediowego. Grający Zdawniańskiego Staszewski słusznie wyakcentował momenty satyryczne i kompromitujące tego zadufanego w swoje pieniądze, ograniczonego szlachlicca. Przyjemnie rozgrywiają swe nieme role Dubrawska i Szydłowska. Kaluski nie bardzo wiedział jak przeprowadzić metamorfozę hrabiego z płochoego „męża Klorindy” w wiernego Celadoga i lepiej się czuje jako nlegodny urodziciel pięknej Lukrecji niż jako strażnik cnoty hrabinyżony. Gawlikowi, grającemu służbistego kamerdynera Służalskiego kazano wręcz temu nazwisku grać zadzierzystego Figara, i to już całkiem zbiesionego, który miota ironiczne spojrzenia, drwi w żywe oczy ze swoich państwa i ino patrzeć jak dobiedzie noża spod liberii, by dźgnąć nim niegodziwego Szarmanckiego; całkiem to źle wypadło. Służba nie ma w ogóle szczęścia w tym przedstawieniu; uwidoczniła się to szczególnie w przerysowanej przez Siemiona roli Jurgi, służącego Zdawniańskiego i w przedobrzonej przez Dąbrowską roli Dorotki, garderobianej Hrabiny.

Ale całość wypadła obiecująco (publiczności — miłą rozrywkę).